



NIEOBECNOŚĆ USPRAWIEDLIWIONA

Już niemal co dziesiąty polski uczeń jest w prywatnej bądź społecznej szkole. To dobrze, bo z roku na rok margines wolności się poszerza. To źle, bo rosną nierówności.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Jedną z przyczyn przechodzenia uczniów do szkół prywatnych są obawy rodziców o skutki reformy szkolnictwa publicznego. Na zdjęciu: Szkoła Podstawowa nr 37 w Katowicach, 31 maja 2021 r.

nego przekłada się na aż 60 tys. nowych uczniów.

Mniej wrażliwy na ten trend jest pierwszy etap edukacji: do społecznych bądź prywatnych podstawówek chodzi jedno na kilkanaścioro polskich dzieci. Inaczej jest z liceami: tu udział płatnych placówek już dawno przekroczył 10 proc. A w rekordowym pod tym względem Krakowie w 2019 r. niemal co czwarty nowy pierwszoklasista był uczniem prywatnej bądź społecznej szkoły (oba typy niepublicznych placówek są z reguły płatne, jednak drugi z nich działa *non profit*). Tak oto prywatne szkolnictwo przestało być wąskim marginesem, na którym przeprowadza się szlachetne „edukacyjne eksperymenty”. Dziś to gigantyczny sektor „obsługujący” niemal pół miliona uczniów i uczennic.

Jak do tego doszło? Przed czym uciekają rodzice, rezygnując z bezpłatnej przecież edukacji?

Bo z nerwów bolał brzuch

– Dramat zaczął się w klasie czwartej – opowiada Katarzyna (imię zmienione), mama ósmoklasisty i szóstoklasistki. – Nauczycielka matematyki przez swoje wymagania i sposób bycia budziła taki postrach, że koledzy mojego syna brali zwolnienia. Bolał ich z nerwów brzuch albo mieli inne dolegliwości. Moje dziecko też miało problemy, dlatego musieliśmy zwrócić się o pomoc do psychoterapeuty. Co więcej, tej pani bali się nawet rodzice... A rozmowy z dyrektorką i kuratorium niczego nie dawały.

Systemowym problemem była jednak według Katarzyny nie nauczycielka, lecz filozofia działania placówki: wszystkich uczniów wrzucamy do jednego worka. – Spędziłam trochę czasu za granicą, w polskiej szkole od początku zastanawiałam się, że wszyscy z niemal równym zaangażowaniem muszą się uczyć wszystkiego. Bez względu na to, czy mają uzdolnienia artystyczne, matematyczne czy humanistyczne. W naszej podstawówce istniał obowiązek posiadania matematycznych zdolności – opowiada Katarzyna, która postanowiła przenieść dwójkę swoich dzieci najpierw do innej →

IM GORZEJ W PUBLICZNYCH, TYM LEPIEJ u nas – mówi wprost Jarosław Pytlak, dyrektor społecznego Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie. Popyt na oświatę niepubliczną, dodaje, najdoskonalej napędzają pravicowi ministrowie oświaty.

– Zaczęło się od Romana Giertycha, jego mundurków i innych pomysłów, których wielu rodziców się przestraszyło – mówi Pytlak. – Minister Anna Zalewska tak zmieniła edukację, że rodzice zaczęli zabierać dzieci ze szkół nieradzących sobie z powiększeniem podstawówek. Kolejną falę popytu zapewnia nam Przemysław Czarnek.

Pół miliona uczniów

Nawet jeśli przełożenie polityki na decyzje rodziców nie jest w sensie statystycznym aż tak proste, to najświeższe dane, przekazane „Tygodnikowi” przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, powinny być dla tego resortu alarmujące: odsetek uczniów uczęszczających do prywatnych i społecznych placówek (podstawowych, licealnych, techników, szkół branżowych i policealnych) dochodzi właśnie do ważnej psychologicznej bariery – za moment co dziesiąty polski uczeń będzie poza głównym nurtem edukacji. Przy czym wzrost z 8,5 proc. dwa lata temu do 9,7 proc. we wrześniu roku obec-

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechnienia

ANNA LEWAŃSKA / AGENCJA WYBORCZA

→ publicznej placówki, a później córkę do szkoły społecznej.

Historię z emocjami dziecka w tle opowiada też Anna Kowalska, obecnie mieszkanka Wrocławia, która niedawno wraz z mężem i nastoletnią córką wróciła po długim pobycie z Wielkiej Brytanii. – Na samym wstępie przeżyłam szok – opowiada. – Głównie z powodu natłoku zajęć i związanego z tym stresu. Wróciliśmy jesienią ubiegłego roku, tak że moja córka przed lockdownem zdążyła pójść do szkoły trzy razy. I szybko się zorientowałam, że prace domowe zadaje się tu nawet z plastyki czy muzyki, a moje dziecko siedzi nad książkami do późnego popołudnia.

Teraz, dodaje wrocławianka, jej córka jako ósmoklasistka w międzynarodowej szkole (wykładowy angielski, chodzą do niej także dzieci obcokrajowców) spędza poza domem czas do godz. 15.30. Ale w ramach tego czasu jest półtoragodzinna przerwa, a po powrocie do domu zadania nie wymagają zwykle pracy dłuższej niż półgodzinna.

– Jednak powód naszej ucieczki ze szkoły publicznej był jeszcze inny – opowiada kobieta. – Było nim odrzucenie mojej córki przez inne uczennice i kompletny brak reakcji na to nauczycieli. Dziewczyny łączyły się w projektowe grupy czy w pary, a moja córka, która była przecież nowa, pozostawała sama. Gdy inne uczennice zaczęły nie tylko ją izolować, ale też się z niej naśmiewać, nadal przy biernej postawie pedagogów, to już wiedziałam, że muszę coś zrobić. Zwłaszcza że usłyszałam wreszcie od córki: „Mamo, ja już nie chcę tam iść”.

Podobne historie zdarzają się też w placówkach niepublicznych: nękanie, odrzucenie (choćby tylko z powodu posiadania przestarzałego smartfona, jak w jednej z krakowskich podstawówek), a nawet będące ich skutkiem ciężkie depresje nie omijają ani szkół prywatnych, ani społecznych. Co nie zmienia faktu, że rodzice uczniów tych placówek właśnie „bezpieczeństwo emocjonalne dziecka” uważają za jeden z dwóch – obok „bardziej indywidualnego podejścia do ucznia” – największych walorów sektora niepublicznego. Tak wynika z badania ankietowego ponad tysiąca rodziców dzieci chodzących do szkół prywatnych i społecznych w ramach opublikowanego w 2019 r. raportu portalu Our Kids, opisującego od lat sektor edukacji niepublicznej.

EWELINA:

Kilku chłopców w klasie syna było agresywnych. Moje dziecko musiało się bronić. Posłaliśmy go do szkoły publicznej, by uniknąć życia pod kloszem, a doświadczył prawdziwej rzeczywistości. Ale nie aż tak.

Na nieco dalszym, choć nadal wysokim, bo szóstym miejscu w wynikach ankiet Our Kids jest też „bezpieczeństwo fizyczne”. O tym aspekcie szkolnej rzeczywistości opowiada Ewelina (imię zmienione), mieszkanka Warszawy, która przeniosła swoje dziecko do placówki społecznej, bo w publicznej nie dało się w jej opinii niczego załatwić ani zorganizować (od wycieczki po pomoc psychologiczną dla dzieci z problemami), a na dodatek chaos wywoływali mający sprzeczne oczekiwania rodzice.

– Kilku chłopców w klasie syna było agresywnych – opowiada kobieta. – Do tego stopnia, że moje dziecko, obecnie uczące się w siódmej klasie, musiało się fizycznie bronić. Posyłałami go do szkoły publicznej świadomie, chcąc, by uniknął życia pod kloszem, a doświadczył prawdziwej rzeczywistości. Ale nie aż tak.

Bo angiści byli z łapanek

To symptomatyczne: rodzice dzieci z płatnych szkół znacznie częściej odnoszą się do szeroko pojętej szkolnej atmosfery, a rzadziej do – jakkolwiek definiowanej – skuteczności w nauczaniu.

I trudno się temu dziwić – o szkołach prywatnych czy społecznych nie da się po prostu jednoznacznie powiedzieć, że ich poziom nauczania jest wyższy, choćby pod względem najczęściej przyjmowanego kryterium, tzw. zdawalności egzaminów. Owszem, nietrudno znaleźć dane, które by taką tezę pozornie potwierdzały: Our Kids podaje np., że uczniowie szkół niepublicznych zdający egzamin ósmoklasisty (a także dawny gimnazjalny) radzili sobie lepiej niż ich rówieśnicy z placówek samorządowych (np. wyniki z pol-

skiego były średnio o kilka punktów procentowych lepsze, z matematyki czy angielskiego nawet o kilkanaście).

Tyle że są co najmniej dwa powody, by na te dane patrzeć z rezerwą. Po pierwsze, nie bardzo wiadomo, co tu jest skutkiem, a co przyczyną – czy szkoły radzą sobie lepiej, bo istotnie lepiej uczą, czy może już na starcie dostają lepiej przygotowanych uczniów. I po drugie, próżno podobnych danych szukać w odniesieniu do liceów. A popularne rankingi szkół zdają się nawet sugerować coś odwrotnego.

Jak przyznaje Jarosław Pytlak, liceów niepublicznych z reputacją świetnie nauczających jest w Warszawie może dwa, może trzy. Tymczasem takie marki jak Reytan, Hoffmanowa, Batory, Staszic i wiele innych biją placówki prywatne czy społeczne na głowę. – Zresztą nie chodzi tylko o te elitarne. Pamiętam jeden z ostatnich egzaminów szóstoklasisty według starego systemu. Moi uczniowie mieli w tym roczniku średni wynik 33 na 40 punktów, a zlokalizowana po sąsiedzku, na Pradze, w ikonicznie trudnym miejscu placówka publiczna osiągnęła prawie 30 punktów. To oni zasługiwali na Nobla, a nie my – mówi Pytlak.

I dodaje, że choćby z tego powodu nie mówi nigdy rodzicom kandydatów na uczniów swojej szkoły, że jest ona najskuteczniejsza w nauczaniu – woli eksponować inne zalety niepublicznego sektora. – Nie znam przesadnie dużo szkół prywatnych czy społecznych, gdzie jest oryginalny program nauczania – mówi dyrektor Zespołu Szkół STO. – Za to znam sporo takich, które są zwyczajnie przyjaźniejsze dzieciom.

Od zasady, że po placówce niepublicznej trudno spodziewać się z definicji lepszej jakości dydaktyki, jest jednak wyjątek – języki. O ile ogólnie „wyższy poziom nauczania” jako powód posłania do placówki niepublicznej znajduje się w wynikach ankiet Our Kids na dziewiątym miejscu, to „możliwość lepszego opanowania języków obcych” jest na pozycji czwartej.

I w tym przypadku nie chodzi zapewne wyłącznie o wyższy „startowy” poziom uczniów, z którego korzysta później w statystykach szkoła.

Ewelina, która sama jest z wykształcenia anglistką, dostrzega przepaść w poziomie nauczania pomiędzy starą a nową szkołą swojego dziecka.

– Angielskiego jest tu naprawdę dużo, co najmniej godzina dziennie – opowiada.

– Trudno się więc dziwić, że poziom mojego dziecka wystrzelił w górę, a ja nie muszę się nawet specjalnie wtrącać w jego językowy rozwój. W szkole publicznej też nie było pod tym względem tak źle, ale nauczyciel zmieniał się co roku. Może dlatego, że za każdym razem był rekrutowany w ostatniej chwili, jak z łapanki.

Bo reforma, bo epidemia...

W opowieściach rodziców dzieci z płatnych szkół słychać też echa reformatorskich szalów kolejnych rządzących ekip: a to źle przygotowanej i przeprowadzonej przez poprzednią ekipę korekty wieku rozpoczęcia edukacji (sześciolatki do szkół), a to niemającej głębszego – poza politycznym – uzasadnienia reformy w wykonaniu ekipy obecnej. W tym drugim przypadku najbardziej dotkliwy jest aspekt logistyczny – pokłosem powiększenia podstawówek do ośmiu klas są w wielu placówkach problemy z ułożeniem rozsądnego planu lekcji.

Katarzyna zapamiętała moment tuż przed wybuchem epidemii, gdy dwójka jej dzieci – m.in. po kryzysie z matematyką syna – chodziła do drugiej z kolei podstawówki publicznej. – W tej nowej było lepiej, za to okazało się, że moja idąca do czwartej klasy córka będzie zaczynać zajęcia o 12, a kończyć po 18. Stwierdziłam, że dosyć tego, i zapisałam ją do szkoły społecznej – mówi Katarzyna.

O podobnych rozterkach opowiada Andrzej (imię zmienione) z Krakowa, którego syn poszedł do szkoły podstawowej w 2012 r. W małej, wiejskiej, spokojnej i dobrze rokującej placówce, która zatrudniała dobrych nauczycieli. I która niestety z biegiem lat, wraz z rozbudową przedmieść, a także wdrażaniem kolejnych etapów reformy zwiększającej podstawówki, stała się placówką ciasną. – Było dla nas jasne, że ta niewielka szkoła zwyczajnie zadławi się dwoma dodatkowymi rocznikami – opowiada Andrzej. – Co zresztą okazało się prawdą: obecnie dzieci z klas pierwszych mają lekcje w przedszkolu, do którego są dowożone busikiem...

Choć w ankietach Our Kids autorzy nie umieścili wśród gotowych odpowiedzi „reformatorskiego” bałaganu szkół publicznych jako przyczyny wysyłania dzieci do tych niepublicznych, to zostawili respondentom pole do wypowiedzi własnych. Wśród nich najczęstszą była „reforma szkolnictwa, a w jej efekcie zatłoczenie szkół, nieregularne godziny nauki”.

Wagę tego czynnika w decyzjach rodziców potwierdzają też inne dane, przeanalizowane na prośbę „Tygodnika” przez dr. hab. Mikołaja Herbst, ekonomistę i eksperta edukacyjnego. – Wpływ reformatorskich kryzysów jest jednak tyleż gwałtowny, co krótkotrwały – komentuje Herbst, który przyjrzał się kolejnym rocznikom podstawówek i licealnych pierwszoklasistów, by zobaczyć, jak z roku na rok zmieniały się trendy popularności poszczególnych typów szkół.

I tak w 2013 r. pierwszoklasiści z niepublicznych podstawówek stanowili 4,7 proc. wszystkich pierwszoklasistów, a siedem lat później było to już 5,4 proc., co wskazuje na łagodny dość wzrostowy trend. Tyle że w międzyczasie – dokładnie w 2016 r., w którym reforma PiS zaczęła wywracać do góry nogami sześcioklasowe dotąd podstawówki – ten sam wskaźnik osiągnął nagle 6,7 proc. By następnie powrócić do łagodnie wzrostowej tendencji.

– Podobne zjawisko wystąpiło w liceach – dodaje Herbst. – Tyle że rekordowe 11,9 proc. pierwszoklasistów ze szkół prowadzonych przez organizacje i osoby prywatne w ogólnej puli licealnych pierwszoklasistów przyniósł rok 2019. A więc rok tzw. podwójnego rocznika.

Co z wpływem czynnika epidemii i nauczania zdalnego na decyzje rodziców? Małgorzata P. Bonikowska, redaktor naczelna Our Kids Polska, jest przekonana, że ostatnie półtora roku przyniosło kolejne argumenty za posyłaniem dzieci do szkół niepublicznych. – Te placówki po prostu poradziły sobie lepiej – mówi Bonikowska. – Przyczyny sukcesu to m.in. małe klasy, pozwalające na indywidualizację nauczania, bezpośredni kontakt nauczyciela z uczniem, a także zaawansowanie technologiczne. Przystawienie się na naukę zdalną w większości szkół niepublicznych nie było trudne, bo konieczna do tego infrastruktura już w wielu z nich działała. Jedną z dyrekto-

rek powiedziała, że dla niej nauka online to nie była rewolucja, tylko ewolucja.

Na razie jednak nie widać w statystykach gwałtownego „efektu pandemii”. – Być może dlatego, że w oczach rodziców nauczanie zdalne mogło niwelować efekt wyższości szkoły niepublicznej – mówi Mikołaj Herbst. – „Płacę, a i tak mam szkołę przez internet”, taki mógł być tok myślenia wielu osób.

Ostatni czas przyniósł kolejny potencjalny *game changer*, mogący zwiększyć przepływ z edukacji publicznej do niepublicznej. To próba zamachu ministra Przemysława Czarnka na autonomię szkół, polegająca na zwiększeniu władzy obsadzanych z politycznego klucza kuratorów nad dyrektorami publicznych szkół. – Edukacja w Polsce, powoli, bo powoli, ale jednak do 2015 r. była pchana w kierunku wolności – uważa Mikołaj Herbst. – Choć akurat autonomia szkół była zawsze budowana na słabych podstawach. Tym łatwiej jest ministrowi Czarnkowi nią zachwiać: niepotrzebna jest do tego nawet zmiana prawa dotyczącego odwoływania dyrektorów, wystarczy tzw. efekt mrozący związany z potencjalnym zagrożeniem utratą pracy. Dlatego można się spodziewać, że i ten czynnik wpłynie w przyszłości na wzrost popularności szkół niepublicznych.

Kolejny element do zestawu nowych atutów placówek płatnych dodaje Jarosław Pytlak: to skutkujący odejściami ze szkół kryzys zawodu nauczyciela. – U nas jest znacznie większe prawdopodobieństwo posiadania kompletu nauczycieli pomimo tego kryzysu – zauważa dyrektor warszawskiego zespołu szkół. – Wszyscy mają kłopot, tylko u nas go łatwiej rozwiązać. Choćby przez „przekupienie” nauczyciela. My w skrajnej sytuacji możemy nawet powiedzieć: „Podniesiemy państwu chesne, żeby miał kto uczyć wasze dzieci matematyki”. Szkoła publiczna tak powiedzieć nie może.

→

POZNANIE

Ewie Nawrockiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

SKŁADAJĄ KOLEDZY Z ZAKŁADU FILOLOGII HISPANISZKIEJ UJ

Bo modły o nawrócenie

→ Andrzej z Krakowa opowiada o kolejnej przyczynie zabrania swojego dziecka z publicznej szkoły: – Kiedy Szymon był w piątej klasie, zaczęła gęstnieć religijna atmosfera. Dyrektorka jest spokrewniona z proboszczem pobliskiej parafii, która zaczęła funkcjonować niemal jako filia szkoły. Np. ksiądz wynajmował jej sale do zajęć. To był sznyt znany z wielu opisów: wszystko, co ważne, zaczynamy mszą; święcimy, co się da. To wszystko nie przekroczyłoby granic naszej tolerancji, gdyby nie zdarzyła się jeszcze inna rzecz. Otóż nowa katechetka, siostra zakonna, zaczęła organizować w szkole... modlitwy o nawrócenie mojego syna, który nie chodził na religię.

Kazus krakowskiej podstawówki to nie odosobniony przypadek. „Zbyt duży nacisk na poglądy religijne i / lub polityczne w szkołach publicznych” – to kolejny motyw wypowiedzi ankietowanych przez Our Kids.

Czy ma związek z kontekstem politycznym? – To oczywiście tylko przypuszczenia, ale moim zdaniem ma – mówi Andrzej. – Pani dyrektor rozmawiała z nami grzecznie, ale jednak z pozycji kogoś, kto chce powiedzieć: „Moja opcja wygrała”. Traktowała nas z pozycji uprzejmego lekceważenia, gdyż wiedziała, że jeśli z tym gdzieś pójdziemy, np. do kuratorium, to niczego nie wskóramy. I miała rację: nie poszliśmy, co teraz wydaje mi się błędem.

Andrzej i jego partnerka nie byli zdeterminowani, by posłać dziecko do szkoły płatnej. Nowa placówka miała spełniać dwa kryteria: odpowiedni poziom nauczania, ale bez przecięć skutkujących nerwicami dzieci, i religijno-ideologiczną neutralność. – Polecono nam krakowską, prywatną szkołę, do której poszedł Szymon, a następnie mój rozpoczynający edukację młodszy syn – dodaje Andrzej. – Szymon w międzyczasie przeszedł do prowadzonego przez ten sam podmiot liceum. Jesteśmy z obu placówek zadowoleni.

Podobnie jak Anna Kowalska, wrocławianka, której córka czuła się odrącona w publicznej podstawówce, w efekcie czego wyłądowna w placówce między-

ANDRZEJ:

Kiedy Szymon był w piątej klasie, zaczęła gęstnieć religijna atmosfera. Katechetka, siostra zakonna, zaczęła organizować modlitwy o nawrócenie mojego syna, który nie chodził na religię.

narodowej. – Jest tu większa wolność, więcej wyjazdów, wycieczek, nawet przetrzeń jest inna, bo nauczyciele nie siedzą w ustawionych rzędami ławkach – wylicza kobieta. – No i zajęcia dodatkowe, a wśród nich takie, które są dziś nie do pomyslenia w szkole publicznej. Np. warsztaty na temat tego, co robić, gdy dziecko czuje się odrzucone. Albo edukacja seksualna, gdzie poruszane są tematy stanowiące w placówkach publicznych tabu, np. jak zakładać prezerwatywę.

Koszt dodatkowy

Raport Our Kids podaje, że rodzice dzieci uczęszczających do prywatnych i społecznych szkół płacą miesięcznie od 200 zł do 10 tys. zł czesnego. Te kwoty (druga dołczy placówki międzynarodowej) to jednak, rzecz jasna, rzadko występujące w przyrodzie ekstrema. W rzeczywistości za miesiąc nauki w szkole niepublicznej w dużym mieście zapłacimy zwykle albo niewiele poniżej tysiąca, albo tysiąc kilkaset złotych, co oznacza, że dzieci z biednych rodzin raczej nie mają szans na naukę poza szkolnictwem publicznym. Przy czym droższe są licea od podstawówek, szkoły prywatne od społecznych, placówki warszawskie od tych działających w innych miastach.

Andrzej krakowskiej szkole prywatnej płaci 930 zł za pierwszego syna, a 650 za drugiego (zniżki na kolejne dzieci to dość powszechna praktyka). Ale już Ewelina i Katarzyna przelewają na konta warszawskich placówek swoich dzieci kwoty około dwukrotnie wyższe (1600-1700 zł).

Co te finansowe progi oznaczają dla społecznej struktury niepublicznych placówek, nietrudno zgadnąć. – Ta ciemna strona szkolnictwa niepublicznego jest dla mnie oczywista i bolesna – przyznaje Andrzej. – Chodzi mi nie tylko o to, że

dziecko chodzące do prywatnej czy społecznej szkoły może być oderwane od rzeczywistości, ale też o rodzaj elitarnego „rasizmu”, jaki grozi uczniom i ich rodzicom. Niby dzieciaki nie czują się lepsze, niby w ogóle mają szkołę gdzieś, a jednak od czasu do czasu wyrwa im się coś, co powinno nam dawać do myślenia. Szymon opowiedział mi kiedyś taką historię. Grupa nastolatków, kłótnia dwóch chłopaków – kolega Szymona mówi do tego obcego, że „nie ma ochoty dyskutować z kimś, kto chodzi do szkoły o trzydziętym numerze”. „Ale go dojechał” – uznali generalnie chłopcy, a mój syn opowiadał mi tę historię w konwencji dowcipu. Dopiero gdy spytałem go, jak to się ma do jego lewicowych poglądów, spojrzał na tę historię zupełnie inaczej.

Choć szkoły niepubliczne miewają swoje bufor przed źle pojmowaną elitarnością – np. niektóre placówki społeczne fundują czesne dzieciom z gorzej sytuowanych domów – to według Mikołaja Herbsta tego rodzaju gesty mają głównie symboliczną wartość: – W skali ogólnospołecznej to margines. Generalna zasada jest prosta: im większy w Polsce udział edukacji niepublicznej, tym większe rozwarstwienie. Szkoła prywatna czy społeczna to może i większa wolność, ale tylko dla wybranych.

A i w tę wolność zaczyna wątpić coraz więcej osób: placówki niepubliczne działają przecież na bazie tych samych, przeoranych przez nową władzę podstaw programowych, ich dyrektorzy zaś – których nie będzie co prawda tak łatwo odwołać jak kierujących szkołami publicznymi – nie mogą spać spokojnie.

– Wystarczy, że ministerstwo wpadnie na pomysł zrewidowania sposobu finansowania tego sektora, który dostaje przecież obecnie takie same subwencje na ucznia jak oświata publiczna – zauważa Mikołaj Herbst. – To nie tylko utrudni życie kierującym prywatnymi i społecznymi placówkami, ale też zwiększy segregacyjny charakter tych szkół.

Jarosław Pytlak: – Są tacy, którzy twierdzą, że władza nie ruszy szkolnictwa niepublicznego, bo należy doń zbyt duża liczba placówek kościelnych, do których uczęszczają zresztą dzieci przedstawicieli władzy. Ale ja uważam, że nie po to minister Czarnek bierze pod but oświatę, by zostawiać jakieś enklawy wolności. Ja w każdym razie nie czuję się bezpieczny.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI